

STANISŁAW SŁAWIECKI.

LIST.

FRAGMENT.

Przy szpitalnem łóżu blada śmierć stanęła. Ostatnie myśli, jak rwące się nici pajęczę, podmuchem wiatru pędzone, uchodzące goniły życie...

...Piszesz mi, że cię ogarnął smutek i żal dziwny, że rozpacz straszną męką uczyniła twe życie... za śmiercią tęsknisz...

Piszesz mi, że los złośliwy zdeptał szczęścia kwiecie, że nie zawita już radości zorza...

Pytam cię: dlaczego? Czemu tak myślisz? Dlaczego straszną stwarzasz sama mękę, czemu goryczą poisz mię w ostatniej życia godzinie?

Odchodzę, prawda; lecz pomyśl, czyliż piękniejszy mógł być koniec życia? Nie, źle mówię... bo to egoizm szepce mi te słowa. Czyliż piękniejszy mógł być koniec pieśni, czy miłość mogła dać nam więcej nad to, co było już naszym udziałem?

Niel... I ty w głębi swej duszy nie znajdziesz na to innej odpowiedzi; nie łudź się! Po co więc do dna wychylać szczęścia i radości czarę?... Czy po to, by na dnie rzeczywiście cynizm ujrzyć życia?

Odejdę; czuję to... za chwilę, za godzinę, dziś lub może jutro, lecz myśl ma do ciebie z oddali popłynię, u stóp twych legnie i będzie z tobą wiecznie.

Odejdę... a jakże lekką śmierć mi będzie, kiedy pomyślę, że miłość nasza trwać będzie jeszcze, że pozostanie precudne wspomnienie... że w twym sercu żyć będę...

...że często myślą popłyniesz w te czasy młodzińskich marzeń, w snów godziny, że cię tęsknota niespełnionych pragnień do snu utuli...

...że w załzawionych lazurach twych oczu zjawię się nieraz taki piękny, młody...

Pomyśl... siwizna przyprószy ci skronie, zmarszczki starości pokryją ci czoło... a wtedy... w śnie się zjawię w krasie młodzińczej urody... zawsze twój...

...serca cię otoczę pieśczęcią, tęsknotą myśli mych...

Odchodzę...

Białą, kościstą dłoń, śmierć na stygnącym położyła czoło.

psota i nieporozumienie jakiebądź. Zabrałem się więc na piechotkę z wszystkimi pakunkami i niema złego, coby na dobre nie wyszło. Po drodze ulitowałem się nademną oficer w automobilu i miał sześć godzin wędrować, zajeżdżałem sobie wygodnie w trzy kwadransy. I tak sobie rozmyślałem po cichu, że życie tyle przynosi człowiekowi przykrości, rozczarowań i niepowodzeń, że z tych wszystkich warto chyba nad bardzo małą częścią rzeczywiście ważnych spraw wogóle się zastanawiać, inaczej już w pierwszej młodości trzeba by chyba osiwić.

Dziś rano wyruszyliśmy w pozycję rowów strzeleckich. Lecz ponieważ na całej prawie linii panuje zastój w walce, która tylko ogranicza się do walk artylerji, więc użyto nas do kopania rowów, reparowania starych i urządzania pod tymi rowami siedzib podziemnych dla walczących.

Wioska, w której leżymy, nie jest opuszczona przez ludność, jak wiele innych, szczęściem dla nas. Zostały jednak prawie tylko same kobiety, mężowie na wojnie lub pouciekali z obawy przed poborem. Biedny ten lud, który doczekać się nie może końca nędzy i niedoli. Ciągłe kwatery, jedni wychodzą, drudzy nastają na ich miejsca, a każdy pyta o żywność, której brak wielki...

Znalazłem dziś przy kopaniu pierwszy fiolek — zwiastun to wiosny. Bodajby dla świata i ludzkości wiosna nastała. Ale jeszcze nie czas, jeszcze sporo burz przetrwać nam trzeba. To słońce przyszłości jednak niech nam nadzieją będzie.

M 22 lutego.

Od rana budujemy w S-P-C... szosy, z szaloną szybkością robota postępuje, żwawo, poprostu gorączkowo. Nieprzyjacieli niewiele w tych robotach przeszkadza, czasem tylko zabłąka się szrapnel jaki lub granat, ale to na pracujących żadnego wrażenia nie czyni. Wśród bagna i błota powstaje więc nowa droga bita, wspaniała, ważna arterja komunikacyjna.

Wracając, wstąpiliśmy znów do Ostendy na kąpiel do cudownego „Royal Palast Hôtel“, urządzonego z wszelkim komfortem. Olbrzymi to gmach, wykintny i gustowny, lecz jak straszny teraz przedstawia widok! Zniszczony zupełnie, wspaniałe dywany, kobierce, makaty i portjery wyscielają dziś mokre ściany rowów strzeleckich lub upiększają nory podziemne. W całym hotelu niema prawie jednej całej szyby, ani lustra, meble zdemolowane, nawet sukna z bilardów zdjęte i marmury potłuczone. Royal Palast Hôtel robi wrażenie dziś koszarowe, tylko bosa posadzka, gzymsy, reliefy i malatury świadczą o innym przeznaczeniu. Z balkonów drugiego piętra wspaniałe widoki na morze i długie, jasne wybrzeże piaszczyste, na którym skupiało się życie kąpielowe. Morze szemrze, wyrzuca fale z białymi grzbietami, a za nimi przestrzeń nieskończona lśniąca w słońcu, kraja zapomnienia, pokoju i szczę-

ścia. Tu i tam sylwetka armaty, paszczą skierowana w przetrzeń morską, tę cichą, świetlaną. Pod wieczór wracaliśmy jeden za drugim gęsiego, długim węzłem przez ulice wąskie, kręte. Pogoda wspaniała, niebo skrzące się gwiazdami, na wschodzie gasnące zorze w purpurze i fioletach. Zdała dochodził nas głuchy łomot dział niemiłkających, jedyny znak wojny w tej ciszy na pozór pogodnej.

Szczególne wytwarza się usposobienie, gdy człowiek o sobie nie stanowi i nie działa z własnej inicjatywy, lecz gotów na wszelkie rozkazy i dyspozycje. Wyrabia się rodzaj beztroski i zobojętnienia pod względem życia czy śmierci. Jedną myślą jednak wszyscy żyjemy, jedna nuta wszędzie i zawsze dźwięczy: myśl o swoich, o ojczyźnie, o powrocie. Oddychamy nadzieją szybkiego końca tych doświadczeń i każy z nas z westchnieniem zdaje się pytać: „kiedy, ach kiedy?“

24. Intego.

Dziwne zaiste okoliczności, w których zabieram się do listu. Od wczoraj wieczora siedzimy jak krety pod ziemią w nader prymitywnych norach, wyłożonych deskami. Leżymy przy wschodnim wybrzeżu kanału, tuż pod byłą wioską, była, bo dziś zrównana z ziemią. Gdzie okiem sięgniesz, wszędzie tu gruzy i ruiny dokoła, nie przepuszczono nawet drzewom. Teren cały, to mokradło straszne, ziemia ciężka, lepka, całymi funtami przylepia się do butów i uniemożliwia szybkie pochody.

Nasza siedziba chwilowa cztery metry długa, dwa metry szeroka, a metr wysoka, mieści w sobie całą grupę, t. zn. podoficera i ośmiu żołnierzy. Leżymy jeden obok drugiego, otuleni w dery i pokrycia namiotów, bo pałacyk nasz niezbyt szczelny i woda zacieka z wszystkich stron. Mała świeczka oświeca przestrzeń we dnie i w nocy. W rowach strzeleckich stoją tylko warty i karabiny nasze leżą nabite w wyłomach w pogotowiu, reszta przebywa cały czas w norach podziemnych. W nocy strzelano raz po raz tak z przyzwyczajenia, bo nie wypada inaczej, tymczasem od samego rana wre wściekła kanonada. My cichutko jak trusie siedzimy w samym środku, bo gdy tylko ktokolwiek nosa wychyli, dostajemy całą salwę granatów i szrapneli. Trudno nas tu sięgnąć, bo kryjówki sprytnie założone, za to celny strzał zagraża od razu całej grupie. Słuchamy tedy tej muzyki wspaniałej choć groźnej, pompatycznej, a stanowczej, odróżniając dokładnie kalibry, strzały baterji niemieckich od francusko-angielskich. Po każdej eksplozji zadygocze powietrze, aż świeczka nasza zleknie się i już, już zdaje się mieć ochotę wypowiedzieć nam posłuszeństwo i pogrozić nas w ciemnościach egipskich.

Najgorsza ta niewola ruchów: by sięgnąć do tornistra po kawałek chleba trzeba molestować prawego i lewego sąsiada. Usiąść nawet trudno, bo zaraz pęcn! głową o sufit. Z upragnieniem oczekujemy wieczora, raz, że wieczór kładzie kres tak do ekscesu nieprzyzwyczajonej kanonadzie, a powtóre, że gdy tylko możliwe, dojeżdża kuchnia polowa z ciepłą strawą, raz na dzień. Tylko o usnięciu mowy niema, bo trzeba Ci wiedzieć, że do wrażeń mniej przyjemnych należą setki szczurów wodnych, które tu tak się rozpanoszyły, że uzurpują sobie prawo nie tylko do poległych, ale i do nas. Zwykle jeden z nas musi czuwać, by bronić obcych nosów i uszu.

Powietrze też nie świetne już choćby dla tego samego, że brak wszelkiego urządzenia, któreby w przybliżeniu wentylacją nazwać można. Zawsze lepsze to, aniżeli niektóre miejscowości, kędy wczoraj przechodziliśmy: powietrze zgniłe, stęchłe, cuchnie zewsząd padliną niepochoowanych trupów, które grzęzną w błocie i których często mimo najlepszych chęci usunąć nie można. Takie nasze przyjemności. Notabene muszę Ci powtórzyć, co mi tu jeden z kolegów opowiadał. Ciekawe epizody, jak między stronami wojującymi stanął niemy układ, by w pewnych okolicznościach nie strzelać i nie napastować przeciwnika. To znów innym razem urządzają sobie zabawę, rodzaj sportu, n. p. wysuwa się z rowu jakaś głowa na sekundę, pif, paf! z przeciwnego rowu, znów ci pierwsi dają następnie znać, czy strzał był trafny, czy nie...



LISTY POŁOWE Z BELGII.

M 20 lutego.

Zastanawiałem się dziś długo i poważnie nad drobnostkami życiowymi, które ludzi tak często z równowagi wyprowadzają, przyczyniając się powoli do choroby nerwów, wkońcu łamią ludzi słabych — i pomyśleć, że nieraz takie błahostki bywają powodem zatracenia! Tego tematu dostarczył mi drobny, zwykły wypadek, który zdarzył mi się wczoraj wieczorem. Wysłano mnie do Ostendy za sprawunkami dla kompanii. Odwiozła mnie dwukonka i z tym samym woźnicą umówiłem się w mieście na pewną godzinę, by na mnie koło dworca czekał. Wracam, obładowany rozmaitościami, a tu niema pana brata, mimo dobrego napiwka nie zjawia się. Czekam pół godziny — nie zjawia się. Czas wracać, droga bardzo daleka, a tu koni ni woźnicy ani widać. Pogwizdałem na całą sprawę, bo poprostu nie umiem się przejmować takimi bagatelami. Złość ludzka, nierzeczność, zawiedzione zaufanie łatwiej mogą mnie z równowagi wyprowadzić, ale nigdy taka głupia

